

ANNA BUJNOWSKA (10 marca 1949 – 22 czerwca 2015) WSPOMNIENIE

Ania Bujnowska należała do ginącego już gatunku, realizującego w codziennym życiu najlepsze wzory polskiej inteligencji. Bezinteresowność, etyka rodem z Żeromskiego, kult książki i czytania, lewicowa wrażliwość społeczna przy szacunku dla tradycji patriotycznej – to były wyznaczniki jej ocen rzeczywistości i postępowania.

Spędziłyśmy wspólnie w IBL-u 39 lat. Pierwsze cztery na studiach doktoranckich. Potem zatrudniono nas tego samego majowego dnia 1980 roku, jednocześnie z paroma jeszcze absolwentami studium. Osoby z zaawansowanymi doktoratami dostały etaty naukowe, reszta – techniczne lub dokumentacyjne. Ania trafiła do Działu Gromadzenia instytutowej Biblioteki. Niewiele o tym dziale wiedziała, a po pierwszym dniu, gdy od razu wciągnięto ją do pracy, przerażona mówiła, że długo nie wytrzyma – zarówno codziennego przychodzenia, jak i papierkowej roboty. Jej zadaniem miało być kupowanie nowości krajowych, ich księgowanie i przekazywanie do skatalogowania.

W latach osiemdziesiątych były pieniądze, natomiast brakowało książek, gdyż większość wartościowych tytułów znikiała z lady w ciągu godziny. Po roku 1990 sytuacja zaczęła się odwracać – kupowanie nie stanowiło już problemu, za to fundusze topniały i należało dokonywać selekcji z coraz bogatszej oferty. Wreszcie nadeszła era Internetu, pojawiło się dużo małych wydawnictw lokalnych, drukujących w niewielkich nakładach rzeczy ciekawe, ale rzadko widywane w księgarniach, co znowu diametralnie zmieniło sposoby zaopatrywania biblioteki. Ania w każdej z tych sytuacji umiała się szybko odnaleźć i radziła sobie świetnie. Potrafiła zawsze zdobyć niedostępną a cenną publikację. Wbrew początkowym lękom niemal od razu utożsamiała się ze swoim miejscem pracy i swoją misją, bo – choć tego oczywiście nie mówiła – tak właśnie traktowała przydzielony obowiązek powiększania iblowskiego księgozbioru. Przez ostatnie 20 lat pełniła go już jako kierowniczka działu. Okazała się stworzona do tego zajęcia, głównie dlatego, że kochała książki, a czytanie uważała za podstawową potrzebę. Zakupione tytuły nie były dla niej tylko pozycjami do odhaczenia; każdy brała do ręki, przeglądała, wiedziała, co zawiera, a te, które ją zainteresowały, pożyczała sobie do domu, zanim powędrowały na dół do czytelni¹. Swoją ciągle przyrastającą wiedzą dzieliła się z innymi, choć nie narzucała własnego zdania. Do Działu Gromadzenia szło się pogadać z Anią przy herbacie i papierosie oraz przerzucić książkowe no-

¹ Śladem tych intensywnych lektur Ani pozostaje przeszło 200 not o książkach, publikowanych w „Biuletynie Polonistycznym” (na stronie <http://www.bazhum.muzhp.pl/autor/BujnowskaAnna/> (dostęp: 21 XI 2015)).

wości, leżące w wysokich słupkach na stole. Zwłaszcza w latach osiemdziesiątych – kiedy to były towary deficytowe. Nie muszę dodawać, że Ania kupowała i dla mnie, i dla innych, jeśli akurat miała szczęście spotkać więcej pożądanych egzemplarzy.

Gości w Dziale Gromadzenia bywało wielu, a pokój ów pełnił funkcję informacji naukowej. Zjawiali się również przypadkowi ludzie poszukujący czegoś w naszych zbiorach, dzwonili po wskazówki bibliograficzne czy rozszyfrowanie autora cytatu. Ania nikogo nie zbywała, nie lekceważyła. Bezinteresownie i chętnie odpowiadała, szukała, sprawdzała. Już po śmierci Ani, czytając *Miłosza w Krakowie* Agnieszki Kosińskiej, trafiłam i tam na jej ślad: „Anna Bujnowska śle ksero z książki Sabiny Sebyłowej *Oktładka z Pegazem* (Warszawa 1960), gdzie wspomina się o Papavayu, do słów Szenwalda, i o tym, że piosenka miała mieć dwie melodie”².

Sama również korzystałam bardzo często z erudycji i pomocy Ani. O zakupach już wspomniałam, ale nie one były najważniejsze. Ania podsuwała mi wszystkie ciekawe nabytki dotyczące zajmujących mnie tematów – a rozrzut zainteresowań miałam spory. Nawet nie pytając, zostawiała dla mnie książki w bibliotecznym kantorku albo skserowane teksty, abym je koniecznie przeczytała. Świetnie się z nią rozmawiało o lekturach, gdyż wyławiała nieomylnie rzeczy istotne, a opinie przekonująco uzasadniała. Dlatego i swoje prace, te najważniejsze, oddawałam jej do krytycznej oceny, z którą bardzo się liczyłam. Rozległa wiedza książkowa Ani pozostawała w nieustającej relacji zwrotnej z jej własnymi doświadczeniami, rodzinną tradycją, ludzkimi opowieściami oraz żywą historią zapisaną w materialnych pamiątkach – od tych w najbliższej okolicy po granice dawnej Rzeczypospolitej. Służyła ta wiedza bezinteresownej potrzebie zrozumienia siebie i innych, a nie aktualnym snobizmom naukowym. Dlatego i doktorat napisała Ania dopiero wtedy, gdy trafiła na „swój” temat, czyli korespondencję starego Teofila Lenartowicza z Heleną Mickiewiczówną – wnuczką wieszczki. Zarówno problemy starości, jak i wiejskiego gospodarowania paryżanki Heleny w podwarszawskim Oryszewie – to były sytuacje historyczne i egzystencjalne bliskie zainteresowaniom Ani i jej życiowej codzienności³.

Aktywność Ani nie ograniczała się do pracy zawodowej i licznych obowiązków rodzinno-domowych. Osobnym i ważnym polem jej działalności był związek „Solidarność”. Zapisala się od razu, tak jak większość z nas, zaraz po sierpniu 1980. Od początku też tkwiła w centrum całego ruchu. Po ogłoszeniu stanu wojennego Dział Gromadzenia stał się czymś w rodzaju punktu kontaktowego. Wszyscy tam wspierali solidarnościowe podziemie. Ania i Dorota Ćwierlikowska ciągle uczestniczyły w rozmaitych akcjach, do których należało zbieranie składek, strajkowanie na korytarzu, wieszanie i rozprowadzanie ulotek, pisemek, gadżetów typu znaczki, pocztówki okolicznościowe, kalendarze z Wałęsą, itp. Najważniejszą wszakże sprawą, w którą bardzo się Ania angażowała, była pomoc aresztowanym i uwięzionym kolegom. Mnóstwo czasu spędzała na staraniach o polepszenie ich sytuacji, zarówno od strony procesowej (np. rozmowy z prawnikami), jak i bytowej (uzyskiwanie

² A. Kosińska, *Miłosz w Krakowie*. Kraków 2015, s. 522.

³ A. Bujnowska, *Życie codzienne pogrobowców romantyzmu. (Teofil Lenartowicz i jego korespondencja)*. Wstęp M. Janion. Pułtusk 2006.

widzeń, przekazywanie listów i paczek). Nie odeszła od „Solidarności” także w nowych już warunkach, po 1989 roku, kiedy szeregi organizacji systematycznie topniały z powodu różnic poglądów politycznych i kontrowersyjnych władz krajowych. Jej zdaniem, pracownicy musieli mieć przecież jakąś urzędową reprezentację, broniącą ich interesów. W naszym związku zawodowym pełniła Ania różne funkcje, najdłużej, prawie do emerytury, funkcję przewodniczącej.



Anna Bujnowska

Anię obchodziły „sprawy ludzkie” – jak to określała. Czyli takie, w których decydował się czyjś los – przy zwolnieniach, w chorobie, niedostatku. Wysyłała pisma, interweniowała osobiście, załatwiała ekspertyzy prawne, zapomogi, prowadziła zbiórki na sieroty i wdowy. Pod opieką miała też wszystkich instytutowych emerytów – wiedziała, co się z nimi dzieje, rozmawiała z nimi przez telefon, pamiętała o nich przy każdej świątecznej okazji, a kiedy trzeba było, organizowała wsparcie, głównie finansowe, bo rozumiała, że nic tak nie poniża i nie uprzedmiotawia człowieka jak bieda. Wiedza o czyichś kłopotach nie jest komfortowa, bo obciąża sumienie, jeśli zaniecha się pomocy. Tymczasem Ania i tu wykraczała poza standardy – nie tylko słuchała, ale i delikatnie pytała, choćby o pozostawione przez zmarłych zwierzęta: czy mają się gdzie podziać, czy zacząć szukać im domów. Na ogół te domy przy pomocy przyjaciół znajdowała. Sama ponad rok temu przygarnęła (mimo własnych psów i kotów) sunię ciężko chorej emerytowanej koleżanki. Jako swój obowiązek traktowała też udział w pogrzebach kolegów. Niektóre z nich nie były tłumne i Ania okazywała się jedyną osobą z Instytutu. Pilnowała ponadto organizacji dorocznych mszy za zmarłych iblowców. Uważała bowiem, że każdemu należy się szacunek za życia i po śmierci. Nie godziła się z tak powszechną dziś urzędniczą bezduszością i lekceważeniem ludzi.

Pierwsze trzy miesiące na emeryturze – a ostatnie w ogóle – spędziła – razem

z Anną Tłuchowską – porządkując archiwum „Solidarności”. Wcześniej, w ramach grantu na temat historii IBL-u, przeprowadziła kilka nagrywanych rozmów z emerytami i dawnymi członkami związku. W ten sposób symbolicznie jakby domknęła ten rozdział swojego życia.

W latach dziewięćdziesiątych była Ania również sekretarzem Rady Naukowej. W erze przedcyfrowej zajęcie to wymagało wiele pracy: protokoły pisało się ze słuchu, a koordynacja obrony doktoratu czy kolokwium habilitacyjnego odbywała się żmudnie przy użyciu tradycyjnej poczty i telefonu stacjonarnego. Ania zносиła te obciążenia, a na moje pomysły, żeby jednak zrezygnowała, reagowała żywiołowo – że nie może, że to są „ludzkie sprawy”, których nie wolno załatwiać byle jak i z opóźnieniem, bo przecież to kwestia czyjegós awansu bądź utraty uczelnianego etatu. Z nieskrywaną dumą opowiedziała mi o jednej swojej brawurowej akcji, kiedy to uratowała termin kolokwium habilitacyjnego. W dniu Rady brakowało ostatniej recenzji, więc Ania poszła rano do mieszkania recenzenta i nie ruszyła się stamtąd, „stała nad maszyną”, póki recenzja nie została ukończona – po czym natychmiast zaniósła ją do Instytutu.

Ania miała wielu przyjaciół – i dla nich wszystkich była kimś bardzo ważnym. Starczało jej dla każdego, bo cała otwierała się na drugiego człowieka i nie myślała o sobie ani o własnym *ego*. Nie znajdowała wprawdzie czasu na kawiarniane plotki czy długie telefoniczne pogawędki, ale wtedy, gdy ktoś jej potrzebował – zawsze mógł liczyć na prawdziwe wsparcie.

Wszystko, co robiła w ramach obowiązków i poza nimi, wynikało z jej własnych standardów, toteż nie afiszowała się ze swoją działalnością. Uważała ją za oczywistość, najwyżej odczuwała satysfakcję, jeśli coś trudnego się udało. Sama dla siebie wyznaczała normy, nie oglądając się na cudze opinie – nie potrzebowała niczych pochlebstw jako zachęty do działania. Dla innych była jednak nieodmiennie życzliwa i wyrozumiała, choć nieraz krytycznie oceniała wygodne milczenie kolegów, gdy należało gromadnie protestować w obronie kogoś potraktowanego niesprawiedliwie.

Rozmowy z Anią, choć zwyczajne i codzienne, zapadały w pamięć, nie były zdawkowe. Zawsze niebanalne, wносиły coś oryginalnego, tylko jej właściwego. Miała bowiem to, co i Miron Białoszewski – jeden z jej ulubionych pisarzy – umiejętność dostrzegania niezwykłych szczegółów rzeczywistości, a zarazem kojarzenia ich w ciągi, które łączyły przeszłość i teraźniejszość w specyficznej wspólnocie i powtarzalności ludzkich losów. W Ani także wszystko to istniało jako synchronicznie. Z jednakowym entuzjazmem potrafiła opowiadać o rzeczach wyczytanych właśnie z jakiegoś pamiętnika, pokazywać zabawne drobiazgi wypatrzone na starych fotografiach i relacjonować wydarzenia lub czyjeś przygody z dnia wczorajszego. Obchodzili ją zwłaszcza tacy jak ona wrażliwcy, empatyczni zarówno wobec ludzi, jak i zwierząt. W naszych pogawędkach wracałyśmy często do Ludwika Heringa i Zofii Zahrtowej – postaci pozostających w cieniu swoich wybitnych przyjaciół-pisarzy, a bardziej od tamtych fascynujących. To był także świat wartości Ani.

Do innych i do samej siebie podchodziła Ania ze zdrowym dystansem, nie pozbawionym specyficznego humoru. Pamiętam niektóre jej zwiewne i celne określenia na pograniczu żartu i powagi. Np. o filmie Wajdy: „otarł się o arcydzieło”. O mojej książce: „siada ci gdzieś od połowy”. O swoim doktoracie: „ruszyło cię ęgonem”

– co u autorów raczej jest niespotykane. Śmiała się z własnego roztargnienia, z przygód znajomych staruszek, z pomysłów swoich zwierząt. Ale nigdy złośliwie. Historie przez nią opowiadane pełne były ciepła i akceptacji dla ich bohaterów.

Cieńko pisać o Ani w czasie przeszłym, gdy przez tyle lat uważało się ją w Instytucie za kogoś trwale obecnego i nie do zastąpienia. Zdążyła jednak przekazać młodszym swoje umiejętności i zasady. Zamierzała powrócić na emeryturze do pracy naukowej i wreszcie odpocząć od codziennych podróży z podwarszawskiego Błonia. Spotkałyśmy się w ostatnim dniu jej pracy. Był taki sam, jak poprzednie – za biurkiem. Bez oficjalnych i koleżeńskich pożegnań – Ania nie lubiła fet na swoją cześć. Tego marcowego dnia spieszyła się i wyszła wcześniej niż zwykle. Z prozaicznej przyczyny. Zrobiło się cieplej i zwierzaki swoje rano zostawiła na dworze, więc martwiła się, że może zmarzną. Wypaliłyśmy razem papierosy na dziedzińcu i pobiegła do pociągu.

Marta Zielińska

Instytut Badań Literackich PAN – Institute of Literary
Research of the Polish Academy of Sciences, Warsaw

Abstract

OBITUARY: ANNA BUJNOWSKA

The text includes a remembrance about professional and social activity of Anna Bujnowska, PhD, a retired Head of IBL PAN Purchase Section, deceased June 22nd, 2015, and an attempt at a (subjective) characteristics of the unusual person.